Cena 18 fen. — 13 cent.



Roczniki „Światła”

są jeszcze w zapasie i nabyć można:

Rocznik I-szy w zeszytach za 1,50 mrk., oprawny 2,50 mrk., w ozdobnej opr. 4 m.
„ **III**-ci w zeszytach za 4 m., oprawny 5 mk., w ozdobnej oprawie 6,50 mk.
„ **VII**-my w zeszytach za 4 mk., oprawny 5 mk., w ozdobnej opr. 6,50 mk.
„ **VIII**-my w zeszytach za 4 mk., oprawny 5 mk., w ozdobnej opr. 6,50 mk.
„ **II, IV, V i VI już wyczerpane.**

Na przesyłkę prosimy dołączyć w odległości do 10 mil 25 fen., w dalszej odległości do broszurowanego egzemplarza 30 fen., do oprawnego zaś 50 fen.
Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu, ulica Piekarska nr. 29.

Nakładem **Wydawnictwa „Katolika“** w **Bytomiu G.-Szl.** wyszła z druku książka pod tytułem:

Nowy Brewiarzyk Tercyarski

dla

Braci i Sióstr III zakonu św. Ojca Franciszka

z dodatkiem

różnych stósownych nabożeństw.

Nowy ten Brewiarzyk został wydany przez **ks. N. Bontzcka,** proboszcza Bytomskiego, i jest wydrukowany za pozwoleniem władzy biskupiej. Dotąd jeszcze nikt nie wydał Brewiarzyka, któryby był tak dogodny i praktyczny, jak niniejszy. Brewiarzyk mieści w sobie: Kalendarz rzymski, oficyum, podzielone na 3 części tj. na Adwent, Boże Narodzenie i po Bożem Narodzeniu (to oficyum jest drukowane w 2 łamach na każdej stronie). Dalej zawiera Brewiarzyk: Regułę III zakonu, kalendarz tercyarski, odpusty dla Tercyarzy, sposób obłóczyn, sposób profesyi, absolucyą jeneralną, sposób odmawiania pacierzy tercyarskich, modlitwy poranne i wieczorne, modlitwy do mszy św. zwyczajnej i żałobnej, modlitwy do spowiedzi i komunii św. i rozmaite inne modlitwy i litanie, oraz drogę krzyżową. Stron 480. — Druk jest wielki, wyraźny, a tytuły czerwonym drukiem wykonane. — Brewiarzyk został wydrukowany na papierze zwyczajnym i welinowym. Ceny są następujące:

Papier zwyczajny:	
oprawny w pół płót. z czerw. brzeg. i futer.	1,50
z przesyłką	1,70
w pół płótno z czerw. brzeg. i złot. tytułem i futerałem	1,75
z przesyłką	1,95
w naśladow. skórę, czerw. brzeg z złotym tytułem i krzyżem w futer.	2,25
z przesyłką	2,45
w naśladow. skórę, złot. brzeg. itp., futer.	3,50
z przesyłką	3,70
w skórę, czerw. brzeg. z złot. tyt. i krzyżem w futer.	2,75
z przesyłką	2,95
w skórę, złot. brzeg. i t. p. w fut.	4,—
z przesyłką	4,20

Papier welinowy:	
oprawny w pół płót. z czer. brzeg i futerałem	1,80
z przesyłką	2,00
w pół płótno z czerw. brzeg. i złot. tytułem i futerałem	2,05
z przesyłką	2,25
w naśl. skórę, czerw. brzeg. z złot. tytułem i krzyżem w futer.	2,55
z przesyłką	2,75
w naśl. skórę, złoty brzeg itp. w futar.	3,80
z przesyłką	4,—
w skórę, czerw. brzeg z zł. tytułem i krzyżem i futerałem	3,05
z przesyłką	3,25
w skórę, złoty brzeg i t. p. w futerale	4,30
z przesyłką	4,50

Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Czerwca 1896. Nr. 11.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

VI.
Niespodziane odwiedziny.

Pociąg pospieszny, który unosił towarzyszkę podróży Ostitza, z szybkością wichru pędził przy zapadającym zmroku, Edyta zaś obojętna na wszystko co ją otaczało, siedziała w samym kącie jednego z wagonów drugiej klasy. Oczy miała zamknięte, chociaż nie spała bynajmniej. Od czasu do czasu budziła się ze swego odrętwienia, skoro pociąg zatrzymał się na jakiej stacyi, której głośno wymówiona nazwa doleciała jej uszu; wtedy zwykle rzuciła wzrokiem na coraz gęstszą osłonę nocy i znowu opierała głowę na poduszce. W ten sposób upłynęło kilka godzin, w ciągu których pociąg dojechał do stacyi O..., na której Edyta wysiadła. Ale i tu nie oczekiwała na nią żadna twarz znajoma, żadna przyjacielska ręka nie wyciągnęła się do niej w chwili opuszczania wagonu. Wyszła sama na chodnik i zaczęła się przechadzać pod wystawą skromnego dworca. Ruch na stacyi po przejściu pociągu był tak mały, iż nie miała najmniejszej trudności w odebraniu natychmiastowem swojego kufra, obok którego zjawił się jakiś chłopak z zapytaniem, dokąd rozkaże ponieść za sobą pakunek.

Edyta odpowiedziała, iż życzy go zabrać z sobą do pierwszej lepszej dorożki, lecz powiedziano jej, że dorożki w tej miejscowości były jeszcze zupełnie nieznanym zbytkiem, musiała więc chcąc nie chcąc kufer powierzyć przewodnikowi. Na powtórne jego zapytanie dokąd ma go odnieść, podała mu wyraźny adres osoby, do której zamyślała się udać; chłopiec wytrzeszczył na nią oczy i zawołał:

— Co! co! To pani każesz się prowadzić do starego pustelnika Bergmansa?

— Może ty nie znasz drogi, mój przyjacielu? — zagadnęła z niecierpliwością miss Frinksly.

— Ale gdzież tam, proszę pani, urodziłem się przecie w tem mieście i znam w niem każdy kamień, tylko że... nie widziałem jeszcze nigdy, żeby ktokolwiek wchodził do starego pustelnika!

Widząc jednak, iż takie tłomaczenie nie zmieniło postanowienia Edyty, wziął

powoli kufer na plecy i poszedł naprzód, mrucząc pod nosem. Amerykanka postępowała w milczeniu.

Było już dosyć późno, a na ulicach panowała ciemność. Zaledwie tylko gdzieniegdzie staroświecka latarnia, podsycana olejem, kołysała się na wysokim słupie, lub niezasłonięte okno rzucało pas niepewnego światła na nierówne chodniki. Cisza prawdziwie wiejska panowała nad całem miasteczkiem, tylko niekiedy szczekanie psa podwórzowego rozlegało się w oddali.

Edyta tylko raz jeden, znudzona długim pochodem przez bezludne ulice, zapytała kiedy nareszcie staną na miejscu, ale zamiast odpowiedzi usłyszała mnóstwo nieznanych sobie nazwisk.

Tymczasem doszli do najwytworniejszej części miasta. Domy nie wysokie lecz bardzo wykwintnie zbudowane przypominały wille włoskie. Ciągnęły się szeregiem, mając z jednej strony koryto niewielkiej rzeki, z drugiej długą aleję wysadzoną topolami. Ale i tam nie zatrzymał się przewodnik lecz przeszedłszy jeszcze przez wiele pustych zaułków, uboczną drogą doprowadził zmęczoną Edytę do jakiegoś ustronnego miejsca, okolonego wysokim murem, który zamykała staroświecka ciężka brama. Poza tą pierwszą zagrodą znajdowały się żelazne kraty, przez które widać było prześliczne gazony z klombami pełnymi krzewów i kwiatów; w samym środku zaś, zaledwie widzialny wpośród bluszczów, wznosił się mały dom wiejski. Tu zatrzymał się przewodnik i popchnąwszy niezamkniętą bramę, zawołał:

— Otóż jesteśmy w pustelni!

Śmiertelnie znużona Edyta z ostatniem wysileniem pociągnęła za dzwonek. Dźwięk jego rozległ się po całym domu, który też niebawem zaczął się ożywiać. Po oknach przesunęła się smuga światła, jak gdyby ktoś śpiesznie przebiegł przez pokój ze świecą, odgłos ciężkich kroków dał się słyszeć w pobliżu, klucz obrócono w zamku i prawie jednocześnie żelazna furtka stanęła otworem. Przewodnik, nie pytając o nic, wszedł natychmiast wewnątrz domu i postawił kufer w sieni, narzekając na dokuczliwą niepogodę. Za nim weszła miss Frinksley i znalazła się w obec jakiejś kobiety, która zwróciła ku przybyłej wcale nie zachęcające spojrzenie.

Nasza cudzoziemka głosem najspokojniejszym odezwała się:

— Proszę oznajmić panu Bergmannsowi, że miss Edyta Frinksley przybyła z Nowego Orleanu i życzy sobie z nim pomówić.

Po tych słowach skinęła na przewodnika i zapłaciwszy hojnie za jego usługę, kazała mu odejść. Chłopak oddalił się z głębokim ukłonem a stara kobieta, stojąca dotąd w milczeniu, zbliżyła się z kolei do nieproszonego gościa, tłumacząc mu aż nadto wyraźnie, że ani myśli o tej porze uprzykrzać się panu, że tenże nietylko nie zwykł przyjmować żadnych gości, ale nawet nie lubi utrzymywać stósunków z nikim obcym.

Edyta nie próbując nawet przerwać potoku wymownych słów starej, osądziła, że je równie dobrze będzie mogła wysłuchać siedząc na swoim kufrze.

— Przykro mi, moja pani, że tak długo narażasz swoje zdrowie niepotrzebnem uniesieniem, zamiast tego mogłabyś się już przekonać, że pan z chęcią mnie przyjmie. W każdym razie muszę mieć jego odpowiedź, gdyż inaczej ztąd nie odejdę. Proszę iść do pana, a ja tymczasem wypocznę!

Gdyby dawni towarzysze miss Frinksley mogli być przytomni tej scenie, jakżeby się zdumieli spojrzawszy na tę energią i stanowczość młodej dziewczyny, którą w czasie żeglugi mieli za tak trwożliwą i bierną istotę! Jej śmiałość i powaga przełamały widocznie upór starej kobiety, która jednak nie życząc sobie złożyć odrazu broni, odezwała się nieco powolniej:

— Tak, tak, ale żebym przynajmniej mogła wiedzieć co to wszystko znaczy i czego panienka chcesz od mojego pana?

— Ja to sama chciałabym powiedzieć panu Bergmannsowi, — odrzekła cudzoziemka. — Bądź pani tylko tak

dobra doręczyć mu to odemnie; — dodała, wyjmując ze skórzanej torebki jakiś maleńki przedmiot zapieczętowany w papierze.

Stara chwiejąc głową przyjęła go do ręki, i bądź to przez rozbudzoną ciekawość, bądź też przez jakieś życzliwsze uczucie dla pięknej nieznajomej, postanowiła wykonać jej zlecenie.

— Może pani zaczekasz w tym pokoju! przemówiła tonem poufałej grzeczności. Przecież tu trochę wygodniej będzie niż w sieni, a ja poniosę na górę ten figielek; — dodała otwierając drzwi na lewo.

Amerykanka ukłoniła się z wdzięcznością, wolała jednak pozostać na kufrze.

Przez kilka minut panowała niczem nieprzerwana cisza, nagle drzwi na górze otworzyły się z hałasem i ostry głos żeńskiego Cerbera zawołał:

— Proszę, bardzo proszę miss Frinksley! mój pan chce się z panienką zobaczyć.

Cudzoziemka już za pierwszym wyrazem poruszyła się z miejsca. Na progu pięknego mieszkania na pierwszem piętrze spotkała jejmość, która dla dodania nacisku swoim słowom nie przestawała dawać znaków ręką, z dziwnie zaciekawioną miną. W chwili gdy młoda dziewczyna stanęła we drzwiach, wyszedł z drugiego pokoju jakiś mężczyzna miernego wzrostu, ujmujących rysów i wyciągnąwszy do niej rękę, zapytał wzruszonym głosem:

— Czy mam zaszczyt mówić z miss Frinksley?

Amerykanka zwróciła ku niemu swoje ciemne oczy.

Zmierzyła ona bystrym wzrokiem stojącego przed sobą mężczyznę, którego twarz, młoda jeszcze, dziwnie odbijała od całkiem już posiwiałych włosów. Z rysów jego łatwo można było poznać jednego z tych uczuciowych ludzi, którzy nawet przy dojrzałości mezkiego wieku zachowują dziecięcą prostotę. Jego poczciwe oczy ze smutnem zajęciem przypatrywały się nieznajomej, podczas gdy cała twarz miała wyraz niezwyczajnego wzruszenia. Wzruszenie to wzrosło jeszcze bardziej, skoro amerykanka zamiast odpowiedzi zagadnęła go:

— Pewnie czytałeś pan mój bilet wizytowy i poznałeś dołączony przy nim medalion z portretem?

— A tak, poznałem go, ale nie rozumiem...

— Zrozumiesz pan natychmiast wszystko, gdyż przybywam tu właśnie poto, ażeby wywiązać się z posłannictwa... byleśmy pozostali sami... — Dodała nieco ciszej, wskazując wzrokiem na gospodynię, która dotąd jeszcze stała przy progu, przysłuchując się ciekawie każdemu wyrazowi.

Oczy poczciwego człowieka pobiegły w ślad za jej spojrzeniem; zrozumiał on dobrze o co chodziło, lecz zarumienił się jak student niepewny swojej lekcyi. Chciał niby coś powiedzieć, potem zawahał się i nie śmiał wyrzec ani słowa.

Miss Frinksley jednym rzutem oka objęła jego położenie.

— Pozwólże mi pan — zawołała błagalnym prawie głosem — wypocząć nieco po tak odległej podróży i przechadzce po niewygodnym bruku tego miasta!

— O mój Boże! i pani stoisz jeszcze. Przepraszam po tysiąc razy, — tłómaczył się gospodarz, przysuwając ogromny fotel, w którym utonęła prawie postać dziewczęcia.

Miss Frinksley, podziękowawszy wdzięcznem skinieniem główki, dodała z zachwycającą naiwnością:

— Trzeba panu wiedzieć, że ja nietylko jestem zmęczona, ale i porządnie głodna!

Bergmanns zachwycony jej szczerością, radośnie zatarł ręce i postąpił ku najwyższej wyroczni swego domu.

— Moja poczciwa Heleno! — odezwał się tonem uprzejmego rozkazu graniczącego z prośbą — czy nie byłabyś czasem tak dobrą, postarać się o jaką przekąskę dla tej pani?

I pochyliwszy się do ucha starej, zakończył jeszcze łagodniejszym głosem:

— Nie zapominaj o tem, że ta śliczna, blada dziewczynka jest rzeczywiście głodna.

Te ostatnie wyrazy były aż nadto przekonywające dla zacnej gosposi, która nie mogła nawet znieść myśli, ażeby gość mógł być głodnym w domu jej pana, którego śpiżarnia bogato zaopatrzona pozostawała pod jej wyłącznem rozporządzeniem. Kierowana popędem dobrego serca, zapomniała o urazie jaką powzięła zrazu do nieznajomej i brzęcząc kluczami zbiegła po schodach.

Ale zaledwie stanęła w sieni, kiedy już miss Frinksley zerwała się z fotelu, a przyskoczywszy do drzwi zamknęła takowe na rygiel.

Bergmanns z prawdziwem osłupieniem przypatrywał się jej postępowaniu i przestraszył się prawie, kiedy dziewczyna zwróciła ku niemu zbladłą twarzyczkę, pełną jakiegoś tajemniczego wyrazu.

— Teraz więc kiedy jesteśmy pewni, że nas nikt nie podsłucha, mogę powiedzieć po co tu właściwie przybywam i co mi wypada wyznać, nim dotknę pokarmu lub napoju w tym domu! — odezwała się ze drżeniem w głosie, poczem dodała zawahawszy się przez chwilę:

— W imię tej pamiątki, którą odwiozłam panu, proszę o pobłażanie i opiekę dla siebie!

— I możesz ich być pewną, biedne dziecię! — odpowiedział zacny człowiek. — Powiedz mi tylko, czem ci mogę być użytecznym?

— Jestem najzupełniej pozbawioną przytułku w tym obcym kraju, gdzie dopiero muszę wywalczyć należne sobie stanowisko! — przemówiła z naciskiem. — Błagam więc pana najprzód na jakiś czas o schronienie. Wiem, iż nie odmówisz sierocie kąta w swoim domu. — Po tych słowach pochyliwszy się bliżej ku niemu wyszeptała kilka wyrazów, które wywołały na słuchającym nadzwyczajne wrażenie.

Bergmanns, z śmiertelną bladością na twarzy, pochwycił w obie ręce drobne dłonie dziewczęcia i przy świetle lampy wpatrując się w nadobne rysy, poił się ich harmonią. Amerykanka mówiła długo jeszcze ale oprócz samego gospodarza domu, nikt nie mógł się dowiedzieć o treści jej skargi. Nie dosłyszało również czujne ucho Heleny, ciekawie u drzwi zamkniętych podsłuchującej. Biedna ta kobieta, w chwili swego powrotu z pełną tacą przekąsek, skoro spostrzegła drzwi tak podstępnie zamknięte przed sobą, doświadczyła takiego uczucia, jak gdyby stary gmach jej potężnej władzy zachwiał się u samej podstawy. Nie czuła się jednak tak słabą, ażeby natychmiast kapitulować za pierwszym atakiem.

Podniesiony głos i kilkakrotne kopnięcie nogą w niewinne drzwi, były aż nadto wyraźnym objawem protestacyi. Ci jednak przeciwko którym właściwie wymierzone było jej oburzenie, zdawali się nawet na nią nie zważać.

Wszystko to było nad siły staruszki; doznała zawrotu głowy męcząc się nad rozwiązaniem tej niewytłómaczonej zagadki i postawiwszy tacę w niszy od okna, spoglądała w bezsilnej rozpaczy ku drzwiom zamkniętym. Nagle obrócono kluczem w zamku Bergmanns ukazał się na progu; ale na twarzy jego jaśniał wyraz, jaki Helena raz tylko w życiu i to przed bardzo wielu laty widziała; jego oczy płonęły takim ogniem, że zapomniała o wszelkich zapytaniach.

Sam odezwał się do niej, ale i sposób w jaki przemówił był tak jakoś niezwykły, że Helena nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nie był to już ów ton nieśmiałej prośby, jakim zwykle do niej przemawiał, ale głos jakkolwiek łagodny wyrażał tym razem stanowczy rozkaz.

— Moja kochana Heleno! pójdziesz mi natychmiast na górę i przysposobisz pokoje, które niegdyś zajmowała moja matka; miss Frinksley, miły i pożądany gość, zajmie je na mieszkanie. A tylko spiesz się jak możesz najprędzej, bo biedna panienka jest zmęczona, potrzebuje spocząć.

Po tych słowach sam zabrał tacę i zaniósł ją do pokoju, nie troszcząc się już wcale o gospodynię.

Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności i ona także nie zdawała się być obrażoną, bądź to w skutek zdziwienia jakim ją przejął tak niezwykły rozkaz, bądź też, że wilgotny połysk oczu Bergmannsa przemówił do jej poczciwego serca. W każdym razie nie próbowała wyrzec ani słowa oporu, ani też nie pomyślała o odebraniu tacy i zaniesieniu jej osobiście do pokoju.



MYSZKA W ŁAPCE.

Zadziwienie podzielali wraz z Heleną wszyscy mieszkańcy miasteczka, skoro się w parę dni później rozgłosiło, że piękny, młody gość zawitał do pustelni. Zkąd się ta panna wzięła w miasteczku?

Jakie stósunki mogły ją łączyć z Bergmannsem, tym szlachetnym dziwakiem, którego wprawdzie każde dziecko znało pod nazwiskiem: dobrego pana, ale nikt nie wiedział więcej o jego przeszłości jak tylko to, że przybył z dalekich stron, przed dwudziestu laty do O..., gdzie kupił dom i własnem staraniem urządziwszy go wygodnie, żył w nim samotnie, cały oddany badaniom naukowym.

Hojne jego dary rozchodziły się po okolicy, przez ręce jego starej gospodyni, sztywną powagą zbywającej wszelkie ciekawe zapytania. Życie w pustelni szło zupełnie jak w zegarku, a stary dziwak codzień z uderzeniem dzwonu na Anioł Pański udawał się tak regularnie na zwykłą przechadzkę, iż według niej regulowano zegary w miasteczku.

Wszyscy więc znali poczciwego samotnika. Dzieci uśmiechały się do niego, robotnicy i ubodzy zdaleka zdejmowali czapki, a bogaci mieszkańcy ciekawie odwracali głowy, chcąc zobaczyć dziwaka.

Wszyscy zaczęli tworzyć najpocieszniejsze wnioski o nieznajomej i jej opiekunie, nie mogąc się w żaden sposób domyślić prawdy. Życie w pustelni dziwnie jakoś Edycie przypadło do smaku; skłoniła samotnika do napisania kilku listów, na które niezwłocznie nadeszła odpowiedź. Na tem też zakończyły się stósunki Bergmannsa ze światem. Piękna panienka, postępująca na codziennych przechadzkach przy boku pustelnika, była zjawiskiem dla całego miasta, ale ponieważ przez kilka tygodni widywano ich codzień obok siebie, powoli oswojono się z jej osobą.

Nagle zajęcie plotkarzy miejskich z nową żywnością zwróciło się na pustelnię, kiedy pewnego dnia ujrzano zatrzymującą się u bramy karetę, która znowu miała odwieźć nieznajomą do dworca kolei żelaznej.

Bergmanns ze smutkiem na twarzy usiadł obok gościa, spoglądając obojętnie na zabiegi starej Heleny, która podawała woźnicy koszyczek podróżny, opatrzony łakociami widocznie przeznaczonemi dla odjeżdżającej. Poczciwa staruszka była głęboko wzruszoną, miała łzy w oczach.

W dwie godziny potem Bergmanns powrócił sam piechotą, wolnym, ociężałym krokiem, a kiedy Helena otworzyła drzwi, spojrzał z żalem, wyszeptawszy:

— Tak, tak, odleciała już od nas ukochana ptaszyna; niechajże ją Bóg doprowadzi szczęśliwie!

To powiedziawszy, jak gdyby szukał śladów Edyty, obejrzał się po całej sieni, a potem w milczeniu poszedł na górę.

Stara Helena zamiast wystąpić z potokiem swej wymowy, znikła po cichu z kuchni. I znowu cichość zapanowała w całym domu, cichość tak głęboka i posępna, jak gdyby jej nigdy nie ożywiała obecność pełnej wdzięku istoty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LEGENDA FIOŁKÓW.

Rodzeni bracia, dwa fiołki młode
Kwitnęły w trawie przed laty;
Każdy jednaki miał strój i urodę,
W jednaką woń był bogaty.

Powiał wiatr — rzecze: »Wygnaniec stęskniony
W obczyźnie gorzkie łzy roni,
Błaga bym przyniósł z rodzinnej mu strony
Choć trochę kwiatów tych woni.

Dajcie mi swoję — zaniosę mu w darze!
Piękni jesteście i młodzi;
Nie woń, lecz barwa uwielbiać was każe —
Ofiarę Bóg wynagrodzi.«

Na słowa te jeden z fiołków choć wzdycha,
Lecz woń swoję chętnie oddaje —
Brat jego zaś ukrył ją w głębi kielicha...
Wiatr pomknął w dalekie gdzieś kraje.

Ach! cnota tajona, jak zwykle na świecie,
Po dziśdzień, powiedźcie, cóż znaczy?
Wy wonne fiołki kochacie, strzeżecie,
Na polne — nikt spojrzeć nie raczy.

GRANICA WIELKANOCY.

(Dokończenie.)

Jest łatwo pojąć, że byłoby rzeczą niewczesną i bardzo zawodną, gdyby chciano co roku wyglądać na niebie zjawienia się nowiu, po którym przypadająca pełnia byłaby pierwszą po nocorówni wiosennej. Pożądaną tu była znajomość pewnych stałych peryodów zmian księżycowych. Tem bardziej jeszcze w starożytności pogańskiej i hebrajskiej, kiedy z nowiem poczynały się miesiące i święcono je przepisanemi modłami, znajomość takich peryodów była pożądaną. Wieki składały się na to, aby z doświadczeń zmian księżycowych i obrotów rocznych, odkryć stałe odstępy czasu, w którychby zmiany księżycowe do tych samych dni w roku powracały. W Grecyi znany był odstęp czasu wprowadzony przez Metona, złożony z lat dziewiętnastu. Według tego peryodu Aleksandrejczycy oznaczali przypadające pełnie i ztąd dany im był na każdy rok dzień pierwszej pełni, przypadający najpierw po 21. marca.

Na zachodzie pod tym względem u różnych uczonych badaczów nieba, istniały różne wątpliwości i pobudki do szukania nowych prawd. Przymierzano więc dla zmian księżycowych różne odstępy czasu, i ztąd oczywiście oznaczenie granicy wielkanocnej wypadało odmiennie. Tak istniał krótki czas odstęp 8-letni czasu, dalej 84 i 112-letni, nareszcie proponowano 532-letni odstęp czasu. Wszakże w roku 526—526 pewien Scyta, opat rzymski, Dyonizy, potrafił nakłonić na zachodzie wiele chrześcian do przyjęcia cyklu 95-letniego, zgodnego z Aleksandrynami, bo był to właściwie cykl aleksandryjski 19-letni pięć razy wzięty.

Długie lata utrzymywały się jeszcze obok tych tablic tablice dawne, aż za panowania Karola Wielkiego, kanon wielkanocny Aleksandrynów, zwany w zachodniej Europie kanonem Dyonizyusza, został wszędzie przyjęty. Zasady wschodniego kościoła zwyciężyły. Spory w tej mierze w całem chrześciańśtwie ustały i wszyscy już zgodnie obchodzili Wielkanoc według rachuby i zasad Aleksandryjczyków.

*
* *

Dobre to porozumienie trwało następnych prawie ośm wieków, aż przyszedł czas, że się przekonano o nieporozumieniu z niebem.

Kanon aleksandryjski zasadzał się na przypuszczeniu, że rok ma dni 365 i godzin 6, a że cykl księżycowy, złożony z 235 lunacyi (od nowiu do nowiu) wypełnia dokładnie 19 lat juliańskich. Oba te przypuszczenia są mylne. Nauka astronomii wykazała, że rok krótszym jest o 11 minut i 12 sekund; a cykl księżycowy krótszym jest od 19 lat o 1 godzinę 28 minut 15 sekund. Za tem idzie, że nocorównie i nowie księżycowe, przypadają stopniowo coraz wcześniej; mianowicie, nocorównie w przeciągu 128 lat poprzedzają dany im termin o jeden dzień, a nowie w 310 lat wypadną o jeden dzień wcześniej. Wskutek tego, wszystkie święta do pewnych stałych terminów tych zjawisk przywiązane będą mylne, skoro zjawiska te na niebie, przepisanych terminów roku kalendarzowego nie dotrzymują.

Różnice te, jakkolwiek w krótkich terminach na pozór małe, z postępem wieków stają się znacznemi i nie mogły zwrócić uwagi badaczów nieba. Pierwszym był Izaak Argyrus, mnich grecki, który w roku 1372 pisał o cofnięciu się cyklu aleksandryjskiego. W piętnastym wieku odezwało się więcej głosów za naprawą kalendarza, przez wyrzucenie kilku dni, dla wprowadzenia na nowo wiosennej nocorówni na dzień 21-go marca.

Papież Sykstus IV powoływał w tym celu w roku 1475 Regiomontana do Rzymu. Astronom ów przed rozpoczęciem dzieła umarł. Za Leona X była o tem mowa na soborze lateraneńskiem. Ważniejsze sprawy wstrzymały wówczas zajęcie się reformą kalendarza. Nareszcie sobor trydencki przekazał tę sprawę papieżowi Grzegorzowi XIII, który reformę kalendarza przyprowadził do skutku 1582 r.

W owym czasie stawało już słońce w punkcie porównania dnia z nocą o 10 dni przed 21. marca. Dla zrównania tych terminów ze sobą, wypadało z kalendarza wyrzucić dziesięć dni. To uczyniono w październiku 1582 roku licząc zamiast 5-go 15-ty. Tym sposobem przyszły 21-go marca wprowadzony był na powrót w swoje dawne kluby; zgadzał się z wiosenną nocorównią. Zarządzono przytem stósowne opuszczenia, aby na przyszłość termin ten w łączności z zjawiskami z niebem utrzymać. Dla oznaczenia pełni księżycowej wprowadzono nowe, stósowne tablice.

Kalendarz ten przyjęły powoli wszystkie narody chrześciańskie. prócz wyznawców kościoła wschodniego. Protestanci, którzy w początkach woleli nie zgadzać się z niebem, aniżeli zgodzić się z papieżem, z czasem poddali się prawdzie. Wyznawcy wschodu, zwłaszcza Moskale wytrwali w uporze, trzymają się dotąd kalendarza juliańskiego, to jest także rzymskiego, ale starego stylu.

Różnica między kalendarzami w czasie reformy była 10 dni. Dzisiaj ta różnica wy-

nosi już dni 12, za lat 20 będzie dni 13 — i tak dalej co wiek o jeden dzień więcej. Gdyby upór w zaślepieniu był na zawsze możliwy, doszłoby do tego, że Wielkanoc obchodzonoby w zimie, a Boże Narodzenie w lecie.

Co do święcenia Wielkanocy, wyznawcy kościoła wschodniego zgadzają się w zasadzie z pierwotną i dzisiejszą regułą reszty chrześciaństwa. Wyznają oni, że granicą Wielkanocy powinna być pierwsza pełnia po wiosennem porównaniu dnia z nocą, a czynią co innego. Uwzględniają pierwszą pełnią po 21. marca swego kalendarza, który wszakże dawno już nie jest terminem nocorówni, a więc biorą często drugą pełnię po porównaniu.

Ażeby się o tem błędnem postępowaniu przekonać, nie trzeba być uczonym, trzeba tylko z zegarkiem w ręku policzyć godziny od wschodu do zachodu słońca, na dniu 21-go marca, według kalendarza poprawionego i tegoż dnia według kalendarza starego; w ten sposób przekonać się można, której daty nocorównia jest bliższą, a więc i która pełnia według reguły kościoła tak rzymskiego jak i greckiego jest przepisaną granicą Wielkanocy.

KLEMENTYNA Z PRĄDZYŃSKICH ŁASZEWSKA.

Klementyna Łaszewska, jedna z zasłużonych wielce Polek w Prusach Zachodnich, urodziła się dnia 24-go Lutego 1822 r. w Objezierzu pod Tucholą z ojca Rafała i matki Anny z Jezierskich.*) Odebrawszy staranne i bardzo religijne wychowanie, wyszła 1839 roku za mąż za Walentego Łaszewskiego, dziedzica Przewozu na Kaszubach i Sarnowa w ziemi chełmińskiej. Z powodu choroby męża była już wkrótce zmuszoną przenieść się do Elbląga. Po śmierci zaś męża (1874 r.) przeprowadziła się do Gdańska, aby straciwszy poprzednio troje dzieci, oddać się tam wyłącznie wychowaniu pozostałego dziecka czwartego synka Maryana. W owych czasach zaznajomiła się z księżniczką Maryą Hohenzollern z Oliwy, która ją przyjaźnią swą zawsze zaszczycała. Niedługo potem umarł jej także i Maryanek.



Klementyna z Prądzyńskich Łaszewska.

Młoda wdowa jaśniejąca wdziękami duszy i ciała, posiadająca przytem 65000 talarów majątku, nie zawarła poraz wtóry małżeństwa, choć liczni konkurenci ubiegali się o jej rękę, wolała raczej poświęcić żywot swój służbie Bożej i dla tego postanowiła sobie wstąpić do klasztoru w Poznaniu. Byłaby też to postanowienie niewątpliwie wykonała, lecz odwiódł ją od niego biskup chełmiński, ks. Marwicz, wskazując jej inny kierunek działania, w którym także z pożytkiem pracować mogła. »Wychowaj najpierw osierociałe dzieci po siostrze i szwagrze,« — były słowa arcypasterza, — »resztę dni poświęć dobroczynności, a pędząc przy tem wszystkiem życie pobożne, ukoisz smutek i dusza twa znajdzie spokój, którego szukasz.«

Rady tej śp. Klementyna usłuchała. Zajęła się początkowo wychowaniem

*) Prądzyńscy tak samo jak Łaszewscy należą obok Komierowskich, Zboińskich, Grąbczewskich i innych do najstarszych rodów na Pomorzu. Dziś niestety szeregi rodzin polskich w tych okolicach już bardzo są przerzedzone.

dwojga dzieci osieroconych po siostrze męża Józefie. Były to Olga i Klementyna Weeger. Około 1860 r. przeniosła się do Pelplina, gdzie podjęła się podobnego obowiązku w obec siedmiorga małych dzieci po siostrze Emilii, zmarłej małżonce obywatela Juliana Łaszewskiego z Brąchnowka. Obowiązek ten stał się tem trudniejszym, ponieważ w tym samym czasie umarł i Julian Łaszewski i takim sposobem owe siedmioro dziatek pozostało bez ojca i matki. Na trudnem tem stanowisku pozostawała aż do r. 1877 w Pelplinie. Właśnie wtedy groziło niebezpieczeństwo zamknięcia zakładu naukowego dla dziewcząt w Kościerzynie, pod nazwą »domu Najśw. Panny Maryi Anielskiej«, który brat Klementyny, prałat Juliusz Prądzyński był ufundował. Siostry miłosierdzia, które zakładem tym kierowały, zostały niebawem wydalone. Otóż Klementyna, która już dawniej nieomal cały swój majątek oddała na klasztór Kościerski, przyjęła trudny obowiązek kierowania zakładem. Dopełniła go z niezwykłą gorliwością i poświęceniem. Do ostatniej chwili była niestrudzona, dopóki nie upadła, jak kłos dojrzały pod ręką żniwiarza.

Klementyna Łaszewska była tak wzorową katoliczką i Polką, iż słusznie jej się należy w tym względzie pierwsze w Prusach Zachodnich miejsce po ś. p. Wilkxyckiej. Pobożność jej, pracowitość i dobroczynność były zdumiewające. O niej słusznie można powiedzieć, że nietylko »przeszła dobrze czyniąc,« ale że zaparła się siebie samej dla chwały Bożej i dobra bliźnich. Ci, którzy ją znali od dawna, widzieli w niej rysy św. Franciszki Joanny Chantal, która też rychło owdowiała i założyła zgromadzenie Sióstr Nawiedzenia Najśw. Maryi Panny. Zaprawdę, śp. Klementyna była podobnie, jak wspomniana Święta, »niewiastą mężną«, — jak ją Mędrzec Pański opisuje.

Już to samo, że podjęła się trudnego stanowiska w zakładzie katolickim w Kościerzynie, w którym aż do walki kulturnej odbywały się wykłady w języku polskim, jedynym na całe Prusy Zachodnie, że na tem stanowisku lat 18 pracowała, wszędzie budując pobożnością i niosąc pomoc biednym, powinno jej zjednać cześć i pamięć u całego społeczeństwa polskiego.

W niespełna siedm miesięcy po zgonie brata swego, nieodżałowanej pamięci Juliusza Prądzyńskiego, którego życiorys podaliśmy w Nr. 10 »Światła«, zmarła Klementyna Łaszewska dnia 8-go Czerwca 1895 r. Przy wielkim udziale duchownych i obywatelstwa złożono jej zwłoki obok grobu szwagra Juliana Łaszewskiego przy kościółku cmentarnym w Kościerzynie.

K. K.

NIC NOWEGO.

Ben Akiba, mędrzec wschodni, z tego głównie zasłynął, iż utrzymywał, że nic nowego niema na świecie. Wielbiciele dzisiejszego postępu i olbrzymich jego odkryć, gotowi wyśmiać starego filozofa, niech wprzód zajrzą do księgi historyi, a przekonają się, że geniusz naszego wieku nić prawie nowego nie odkrył ani nie stworzył, tylko stare rzeczy odgrzebał, stare wynalazki wznowił, i dzięki udoskonalonej przez wieki robocie mechanicznej, częstokroć ulepszył.

Na potwierdzenie tych słów przytaczamy garść, na los szczęścia wziętych z kart dziejowych, przykładów; zaczynamy nasze dowody od jednej z najświeższych niby nowości.

Ostatniemi czasy dużo hałasu w świecie, zarówno lekarzy, jak pacyentów, narobiła metoda dr. Schweningera, leczenia zbytniej otyłości. Tymczasem pokazuje się, że metodę tę znał doskonale Pliniusz, który w swojej »Historyi naturalnej« mówi: »Ci, którzy chcą na-

brać ciała, powinni pić przy jedzeniu; ci zaś, którzy chcą pozbyć się zbytniej tuszy, niech przy jedzeniu nic nie piją, a po jedzeniu bardzo mało.

W Pliniuszu w ogóle znajdujemy dużo ciekawych wiadomości. Opowiada on, że Nero walce gladyatorów przypatrywał się przez szmaragd. Bez wątpienia cesarz ten miał wzrok krótki i używał drogiego kamienia zamiast lornetki. A cóż mamy myśleć o tej klasycznej wiadomości, że rozbójnik morski, Mauritius, zwykł był z przylądka Lilibaeum, w Sycylii, za pomocą pewnego przyrządu, który nosił przy sobie, przypatrywać się okrętom płynącym od wybrzeży afrykańskich? Czyż to nie był rodzaj dalekowidzu?

Starożytni mówią o napisach egipskich i assyryjskich, których gołem okiem czytać nie było można. Jakże napisy te wykonywano i jak je czytano? Czy nie było do tego potrzeba szkła powiększającego? Wszelka wiadomość o tem zaginęła. Spustoszenia, jakie król perski Kambyzes, zrządził w Egipcie, podcięły dalszy rozwój umiejętności w tym kraju.

Chaldejczycy wiedzieli już, że się ziemia obraca. Epigenes opowiada, że za jego czasów, na krótko przed Aleksandrem Wielkim, znaleziono na glinianych tablicach obserwacye zaćmień słońca i księżyca, przez lat 730 spisywane w Babilonie.

Jeszcze większą niż Egipcyanie dokładność w obliczeniu długości roku osiągnęli Chińczycy w zapadłej starożytności. Jeżeli nie posiadali potrzebnych do tego narzędzi, to tembardziej podziwiać trzeba ich cierpliwość w obserwacyi. Niestety, wszystkie ślady piśmienne ich znajomości gwiazd i innych umiejętności, w trzecim wieku przed naszą erą, padły ofiarą barbarzyńskiej żądzy niszczenia jednego z ich cesarzów. Odtąd poczęli zaniedbywać astronomię i w dziesiątym wieku nauka ta przestała u nich istnieć zupełnie.

Natomiast astronomia kwitnęła przez długi czas w Indyach w sposób zdumiewający, jak się to pokazuje z tablic sięgających wieku siódmego. W końcu jednak podupadła i tam, zeszła na drogę dziecinnych wyobrażeń. W bardzo starych księgach indyjskich znajdujemy już owo twierdzenie geometryczne, którego wynalazek przypisują zwykle Pitagorasowi. Indyanie wiedzieli jeszcze coś więcej o trójkącie, to, czego Grecy nie wiedzieli i co dopiero w 1000 lat z górą później wymyślono.

Grecy, w obserwacyi ciał niebieskich, popuszczali cugli swojej fantazyi. Tymczasem już Tales, który twierdził, że wszystko z wody powstało, był przekonany, że ziemia posiada kształt kuli. Pitagoras nauczał, że księżyc otrzymuje światło od słońca, i że ziemia jest gwiazdą ruchomą, kręcącą się dokoła słońca. Anaksagoras zupełnie dobrze tłómaczył przyczyny zaćmień słońca i księżyca. Co Pitagoras przypuszczał, to Kopernik udowodnił.

Średnie wieki stanowią plamę ciemną, zalegającą między poglądami starożytnych a Kopernikiem. Tylko wśród Arabów znalazła nauka schronienie. Kilku gwiaździarzy arabskich udoskonaliło narzędzia obserwacyjne. Maurowie dźwignęli pierwsze w Europie obserwatorya. Jedno z nich zostało wzniesione w roku 1196 w Sewilli, pod kierunkiem matematyka Gebera. Po wypędzeniu Maurów z Hiszpanii, chrześcianie nie wiedzieli co począć z tem obserwatoryum i obrócili je na dzwonnicę.

Egipcyanie posiadali pewien rodzaj konduktorów piorunowych; funkcyę tę spełniały miedziane, złocone kapy na ich olbrzymich obeliskach. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Chińczycy, w prastarych czasach, znali igłę magnezyową. O nauce słuchu Grecy i Egipcyanie mieli już wcale niezłe pojęcie. Świadczą o tem ich wyrocznie.

Wynalazek szkła jest także bardzo stary. Soczewki szklane były już w odległej starożytności używane jako szkła palące. Kulkami szklanemi zapalały Westfalki święty ogień. Lekarze używali ich do wypalania ran. Wspominają o tem Anthemios, Plato, Arystofanes, Euklid, Laktantius, Arystoteles.

Klaudyusz Ptolomeusz, sławny aleksandryjski astronom, napisał traktat o optyce, w którym widać gruntowną znajomość nauki o świetle.

Proch strzelniczy był niejednokrotnie wynaleziony. Znali go Hindusi. Mamy z ósmego wieku indyjski przepis na wyrabianie prochu z siarki, węgli drewnianych i saletry. Informacya, polecająca nabijanie go w długą, wązką, na jednym końcu zamkniętą rurę, każe się domyślać rakiety. Chińczycy posiadali również proch strzelniczy w odległej starożytności.

Gustaw Oppert, w dziele: »O broni, urządzeniach wojskowych i państwowych u starych Hindusów, ze szczególnem uwzględnieniem prochu strzelniczego i broni palnej«, przytacza mnóstwo ustępów z starego języka Hindusów, dotyczących tego przedmiotu. Widać ztąd jasno, że proch i broń palna w prastarej już dobie były w użyciu. Dwa wielkie indyjskie poemata bohaterskie pełne są opisów »broni ognistej« bogów. Opisy te są wprawdzie po poetycku przesadne, ale po za tem nie brak istotnych dowodów istnienia prochu i rozmaitych rodzajów broni palnej, z których w jednym do.nyślać nawet się można armaty.

Kanał Sueski uchodzi za cudowne dzieło naszych czasów, tymczasem Faraonowie już zbudowali byli kanał między morzem Śródziemnem a Czerwonem, które początek budowy opisuje Herodot. Po upływie wielu wieków, za czasów mahometańskich, kanał ten zasypano.

Vasco de Gama słynie jako wynalazca drogi około przylądka Dobrej Nadziei. Tak samo jednak, począwszy od morza Czerwonego i przez Słupy Herkulesa (cieśninę Gibraltarską), opłynęli całą Afrykę dokoła, aż do Egiptu z powrotem, Fenicyanie, na lat 2,200 przedtem. Stało się to z polecenia tego samego Faraona Neko, który kanał Sueski budować począł. O powtórnem opłynięciu Afryki, za króla perskiego Kserksesa, mówi Herodot w tej samej księdze. Tam także znajduje się wzmianka o narodzie karłów, którą poczytywano za bajkę, dopóki Stanley na nowo tego narodu nie odszukał.

Starożytni nie znali wprawdzie dokładnie krain północnych i północno-zachodnich, ale znali już źródła Nilu, drogi z Egiptu do Abissynii i środkowej Afryki, z Mezopotamii do Armenii i Azyi środkowej, aż po Indye. Wszystko to poszło później w niepamięć. Późniejszym odkryciom Marka Polo i Johna Mandeville'a wierzyć nie chciano.

Egipcyanie, z którymi Solon miał stosunki, wiedzieli, że jakaś Atlantyda leży po za Oceanem. Kartagińczycy, pod wodzą Hamilkara, widocznie bliskimi byli odkrycia Ameryki, prawdopodobnie kilka razy już przedtem odkrytej. Na pięćset lat przed Kolumbem Islandczycy wylądowali na wybrzeżach zaatlantyckiej części świata i pozakładali tam osady, które istniały kilka wieków.

Pytheas, grecki matematyk i podróżnik, po śmierci Aleksandra Wielkiego popłynął z Marsylii do wysp Brytańskich, na morze Północne i Wschodnie (Bałtyckie), a stamtąd wzdłuż wybrzeży norweskich, aż do Szotlandyi i wysp Orknejskich. Wszystko to trzeba było później na nowo odkrywać.

Przeniósłszy się w nowsze czasy, zaledwie o parę wieków w tył, cóżby się to nie dało powiedzieć o początkach fonografu i telefonu, o zastosowaniu siły pary itd. Wszystko to są wynalazki dawne, które na długie czasy później w zapomnienie popadły. W książce Jana Joachima Bechera, wydanej w drugiej połowie XVII wieku, pod tytułem: »Głupia mądrość i mądra głupota« nadzwyczaj wyraźnie widzimy zaznaczone: fonograf i telefon. Cóż to był za przyrząd, za pomocą którego, według Grimmelshausena w książce jego: »Simplicissimus«, można było słyszeć na dalekie odległości? Czyż to nie był mikrofon?

Czyż nie jest rzeczą dowiedzioną, że Francuz, Dyonizy Papin, w r. 1707 zbudował pierwszy statek parowy i pływał nim po Wezerze, i że mu go przewoźnicy przez zawiść zniszczyli? Czy

tenże Papin nie zbudował także pierwszego modelu lokomotywy?

Materyał do podobnych dochodzeń jest niewyczerpany. W nowszych czasach nastał zwyczaj patrzeć na przeszłość z pogardą, a przeciwnie, wszystko co nowoczesne wynosić, na urągowisko historyi i skromności naukowej. Zdało nam się pożytecznem w kilku rysach nakreślić odwrotną stronę obrazu.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO STANISŁAWA
W ŚWIECIU (W PRUSACH ZACHODNICH).

Do pomnikowych budowli, które chlubne zdają świadectwo o rozwoju sztuki architektocznej w wiekach ubiegłych, należy kościół parafialny w Świeciu nad Wisłą pod wezwaniem św. Stanisława. Dokładnych wiadomości o fundacyi tego Kościoła nie posiadamy, tyle jednakże pewnem, że istniał już 1470 r., choć tylko w części, nawa druga bowiem i wieża powstały dopiero 1480 roku.*) W kościele tym znajduje się tablica nosząca napis, iż w Świeciu już król Bolesław Chrobry (992—1026 r.) kościół drewniany fundował, a więc w tym czasie, kiedy św. Wojciech do pogańskich jeszcze Prusaków wysłanym został (997 r.), Być może, iż na miejscu tej starej pierwotnej świątyni wzniesiono później kościół św. Stanisława*), którego rycinę czytelnikom podajemy.



Kościół św. Stanisława w Świeciu (w Prusach Zach.)

Podczas pierwszej wojny szwedzkiej (1605—1635) poniósł kościół ten wiel-

*) Märcker str. 146, 147.

*) Porównaj: Wagner II, str. 256.

ką szkodę przez pożar, który równocześnie i miasto zniszczył. Zaopiekował się nim następnie starosta świecki Zawadzki, który do urządzenia zewnętrznego znacznie się przyłożył. Za sam marmur czarny i biały włoski na posadzkę do kaplicy, mensę i kamień grobowy zapłacił starosta Zawadzki 540 złotych u Jerzego Münch w Gdańsku.*)

Wskutek nizkiego swego położenia i blizkości Wisły narażony był kościół św. Stanisława na szkody z powodzi wiślanej wynikające. Tak 1674 r. woda stała na 3 łokcie i zniszczyła też mianowicie księgi kościelne. Wiele ucierpiał również kościół przez powódź roku 1745. Znaki na filarze pod chórem przypominają te katastrofy, które parafian świeckich nawiedziły.

Bardzo ciekawemi zabytkami z przeszłości są epitafie poświęcone członkom możnej niegdyś w tej okolicy rodziny Konopackich. Są tam grobowce starosty świeckiego Jerzego Konopackiego († 28. 2. 1513.), syna jego również Jerzego, tak samo jak ojciec starosty świeckiego († 27. 10. 1596) i wojewody pomorskiego Macieja Konopackiego († 1540) — dalej rodzin obywatelskich jak Sienieckich, Domagalskich i innych.

Do szczególnych dobrodziejów kościoła św. Stanisława należeli książęta Jabłonowscy. Za czasów księcia na Ostrogu Jana Stanisława Jabłonowskiego, starosty świeckiego (1723—1749) powstała należąca do kościoła kaplica. Ażeby przyczynić się do chwały Bożej obdarzył też książę Jan Stanisław Jabłonowski dnia 1-go Września 1723 kapelę kościelną świecką osobnym przywilejem, który następnie król August III w Warszawie dnia 5 Kwietnia 1731 r. potwierdził. Podług przywileju tego dziś jeszcze w oryginale zachowanego*) byli obywatele tak w mieście jako i wsiach do starostwa należących zobowiązani, na aktach weselnych nie innej tylko farskiej zażywać kapeli, aby tem samem do jej przyczynić się utrzymania. W razie użycia innej kapeli a nie farskiej, winni byli wesele sprawujący oddać do kasy 2 zł., które z swej strony potrącić mieli kapeli postronnej.

Miasto Świecie posiadało też kościół Najśw. Maryi Panny, który już dnia 11-go Listopada 1189 r. poświęconym został. Stał on tam, gdzie dziś wznoszą się zabudowania zakładu prowincyonalnego dla chorych na umyśle.**)

Filialnemi kościołami są obecnie kościół poklasztorny i kościół św. Barbary w Sartawicach.

K. K.

*) Märcker str. 146, 147.

*) Chwilowo w ręku autora pozostającego.

**) Wagner.

MAŁPY.

(Ciąg dalszy.)

Pomiędzy człekokształtnemi małpami tworzącemi pierwszą gromadę rodzaju małpiego i całego królestwa zwierzęcego, na pierwszem miejscu stoi Goryl. Potężne zwierzę, wysokości rosłego człowieka, tylko silniej i tężej zbudowane, z wyjątkiem nóg, które stósunkowo są krótkie i wątłe. Twarz i dłonie są nagie, popielatej barwy, reszta ciała oraz palce wszystkich czterech rąk, porosłe są gęstym, czarnym włosem, który na przedramieniu skierowany jest do góry. Kark byczy dźwiga głowę pochyloną nieco ku przodowi, z twarzą wydaną naprzód, a małe, szare oczy pod płaskiem czołem i bardzo gęstemi, nawisłemi brwiami świecą ponurym blaskiem. Szeroką gębę zamykają grube wargi, zakrywające straszliwe zęby podobne do zębów drapieżnych zwierząt. Nadzwyczaj muskularne ramiona i ręce, gdy zwierzę stoi prosto, sięgają tylko do kolan. Jednym zamachem potężnego ramienia zwala on z nóg myśliwca,

którego kula nie zadała mu odrazu śmiertelnego ciosu, a broń wtedy staje się zupełnie nieużyteczną, gdyż goryl rozgryza ją jak rzepę, a lufę skręca i kruszy jak słomkę. Nic dziwnego, że pomiędzy murzynami uchodzi ten za bohatera, kto zwycięzko wyszedł z walki z takim potworem. Śmiało napada on na każde zwierzę, wkraczające w miejsca jego pobytu, nie wyłączając lwa i słonia i te muszą mu ustąpić. Pojedyńczo, ustępuje człowiekowi z drogi, lecz gdy się znajduje w towarzystwie swojej rodziny, wtedy śmiało napada na człowieka i zawsze z powodzeniem, jeśli celny strzał odrazu go trupem nie położy.

Goryl zamieszkuje lasy zachodniego wybrzeża Afryki, nad brzegami rzeki Gabun w Niższej - Gwinei i przybywa zwykle pojedynczo albo parami. Odkrył go misyonarz Savage w 1847 r.; miano go z początku za szympansa, dawno już znanego afrykańskiego leśnego mieszkańca, lecz gdy w kilka lat potem podróżnik inny bliżej mu się przypatrzył, uznano w gorylu zupełnie oddzielny małp gatunek.

Niemieccy podróżni powątpiewali o prawdziwości faktów, które tenże przytaczał i nawet wskazali pewne niedokładności w jego opisach, lecz później większa część takowych została stwierdzoną, pomimo pozornej przesady. Podróżnik tak opisuje pierwsze z gorylem spotkanie: »Dał się słyszeć szybki ruch w zaroślach i nagle stanął przedemną goryl samiec. Przez gęstwinę pełznął on na czworakach, lecz ujrzawszy nas podniósł się i spojrzał nam śmiało w oczy. Stał tak na odległość dwunastu kroków od nas; widoku tego nigdy nie zapomnę! król afrykańskich lasów wydał mi się okropnem zjawiskiem; wyprostowany, mógł mieć do sześciu stóp wysokości; dokładnie można było widzieć jego pierś potężną, silne, muskularne ramiona, dzikie, błyszczące, ciemnoszare oczy i twarz pełną piekielnego wyrazu.

Wcale nie okazywał bojaźni; potężnemi pięściami swemi bił się w piersi, aż słychać było huk jakby od uderzania w wielki metalowy kocioł. Takie jest wyzywanie do walki i wyraz złości goryla! Przytem wydawał ryk tak straszny, że się z niczem innem nie da porównać; jest to najokropniejszy głos jaki tylko może budzić echa afrykańskich lasów. Ryk ten rozpoczyna się jakby głośnem szczekaniem wielkiego brytana, potem przechodzi w głuche warczenie podobne do huku dalekiego grzmotu. Nieraz już ryk taki brałem za huk grzmotu, kiedym nie widział goryla. Staliśmy nieruchomie w obronnej postawie. Oczy potwora pałały wściekłością; grzywka z krótkich włosów na czole, jeżyła się i opadała; ściskał potężne swe pięści i ryczał bez przerwy. Zupełnie był podobny do mieszkańca otchłani piekielnych, istoty na wpół ludzkiej, nawpół zwierzęcej, jaką wymyślili dawni malarze usiłując przedstawić piekło. Goryl znowu postąpił parę kroków naprzód, znowu się zatrzymał i jeszcze raz zaryczał; znowu postąpił, tłukąc się pięściami w piersi i rycząc z wściekości; był już tylko na sześć kroków odległości od nas. Wtenczas dałem ognia i położyłem go trupem. Ze stękaniem, mającem w sobie coś przerażająco ludzkiego, ale przytem na wskroś bydlęcem, upadł twarzą naprzód. Cielsko drgało konwulsyjnie przez kilka minut, potem pozostało nieruchome, śmierć spełniła swoje. Wtedy miałem czas do zbadania martwego cielska potwora. Długość jego wynosiła 5 stóp 8 cali, a rozwinięte muskuły ramion i piersi świadczyły o niesłychanej jego sile. Dalej jeszcze mówi ten podróżnik: »Goryl zamieszkuje najciemniejsze i najodludniejsze zarośla afrykańskich lasów, przekładając głębokie cieniste parowy i strome pagórki, nad wszelkie inne miejsca pobytu.

W tych okolicach Afryki znajduje się wszędzie woda, a spostrzegłem że goryl właśnie trzyma się miejsc najwilgotniejszych. Jest to wędrowne zwierzę, błąkające się bez odpoczynku z miejsca na miejsce i nie przebywające nigdy dwóch dni z rzędu w jednej oko-

licy. Ciągła ta wędrówka ma za przyczynę trudność w wyszukaniu ulubionego pożywienia. Chociaż bowiem goryl za pomocą potężnych swoich kłów i zębów siecznych mógłby rozerwać każde zwierzę napotkane w puszczy, jest on jednak wyłącznie roślinożernym. Badałem żołądki u wszystkich okazów, które mi się ubić udało i zawsze znajdowałem w nich tylko jagody, liście ananasu i inne materye roślinne. Goryl jest wielkim żarłokiem i nie ma wątpliwości, że gdy wszystko w miejscu pobytu swego wyźre, party głodem, musi przenosić się w inne miejsce. Wielki jego, wystający brzuch, doskonale widoczny gdy zwierzę stoi, wyraźnie wskazuje że jest wielkim żarłokiem i zaiste ogromne jego cielsko i potężne muskuły nie mogłyby dosięgnąć takich rozmiarów bez obfitego pokarmu. Jest to zasadą u dobrze wyćwiczonego myśliwca na goryle, zachowywać strzał na ostatnią chwilę. Doświadczenie nauczyło, że gdy myśliwy wystrzeli i chybi, natenczas goryl w tej chwili rzuca się na niego, a tego starcia nie wytrzyma żaden człowiek; za jednym zamachem straszliwej pięści uzbrojonej w twarde i długie paznogcie, rozpruje brzuch nieszczęsnemu strzelcowi i wydrze mu wnętrzności, rozpłata pierś i zdruzgocze czaszkę: nie ma czasu do nabicia na nowo broni, a wszelka ucieczka byłaby daremną. Czasem jaki murzyn w zapamiętałym szale z najwyższej trwogi rzuci się do mocowania się z gorylem, broniąc się wystrzeloną bronią; w jednem mgnieniu oka pochwyci go straszliwa pięść i jednem uderzeniem zgruchocze broń i czaszkę.

Nie umiem sobie wyobrazić żadnego innego zwierza umiejącego wykonywać takie nieodparte napady na człowieka, a to dla tego, że goryl staje do walki twarzą w twarz i tylko używa rąk jako oręża, tak samo jak zapaśnik na pięści, tylko że długie ręce i niesłychana ich siła zapewniają gorylowi stanowczą przewagę którejby się oprzeć nie zdołał najznakomitszy zapaśnik na pięści w całej Anglii. Nawet zupełnie młody goryl jest niesłychanie mocny; jednego, mającego zaledwie półtrzecia roku, czterech silnych ludzi nie mogło utrzymać. Dorosły goryl może z łatwością odgryźć zębami lufę strzelby. Zbliża się on do myśliwego wolnym krokiem, często się zatrzymując i wydając swój piekielny ryk, bijąc się przytem w piersi. Niekiedy dłużej się zatrzymuje, a nawet siada, mierząc wściekłym wzrokiem przeciwnika. Chód jego jest chwiejny, krótkie bowiem zadnie nogi nie wystarczają do utrzymania ciała w wyprostowanej postawie; ztąd zwierzę dopomaga sobie do utrzymania równowagi machaniem rękami; ale wielki brzuch, okrągły byczy łeb, z tyłu leżący prawie na karku, długie, muskularne ramiona i szeroka pierś, wszystko to nadaje temu chwianiu jakiś okropny wyraz potęgujący przerażenie jakie sprawia jego widok. Jednocześnie błyszczą wściekłością głęboko osadzone szare oczy, złość wykrzywia szpetnie twarz, ostro wykrojone wargi podniesione do góry ukazują potężne zęby, któremi szczęki są uzbrojone, a które skruszyłyby jak sucharek członki ludzkie. Straszliwy wygląd potwora przewyższa okropnością wszelkie opisy. Na taki widok dzielni moi strzelcy truchleli ze strachu nie mogąc się oprzeć wrażeniu, co też im wybaczałem i mogłem wtedy tłómaczyć sobie wszelkie dziwy opowiadane o gorylu przez murzynów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SYN TĘPICIELA WILKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia, Gunga poszczący i martwiący ciało swe w sposób okrutny, stał z obnażoną pod żarzącemi promieniami słońca głową, błagając bo-

gini by przyjęła życie jego w ofierze za lud swój. Ale czuł, że modlitwy jego utraciły moc swoję, bo umysł nie był im całkiem oddany: łkający, wycieńczony głos niewieści brzmiał bezustannie w jego uszach; i czuł iż błąka się gdzieś po świecie duch silniejszy od niego. Wyszedł więc do tłumu i oznajmił mu, że Doorga żąda ofiary życia najznakomitszego z pomiędzy ludu i zapytał, kimby on był?

— Ty sam! — wykrzyknął lud jednogłośnie.

Kapłan podniósł dłoń, aby uciszyć piętrzące się fale głosów ludzkich, a gdy wrzawa ustała, rzekł spokojnym głosem:

— Niechaj się stanie jak powiadacie. Kapłan wasz odda życie za lud swój; ale nim dotrzymam przysięgi, muszę obezwładnić błąkającego się po świecie ducha, który mieni się być silniejszym od bogini Doorgi. Jeżeli bowiem nie uczynię tego za życia, duch ten prześladować was będzie później.

Mówił to zaś, aby zyskać na czasie, bo żal mu było życia, otoczonego promienną aureolą czci i sławy. Ufał, że zanim się podobny duch odszuka, bogini da się przebłagać i daruje mu życie. Zebrawszy kapłanów w świątyni, Gunga rzekł im:

— Błąka się kędyś po świecie duch, który urąga potędze bogini naszej. Idźcie, odszukajcie go i przywiedźcie związanego na ofiarę Doordze. Podróżując szybko po dwadzieścia stai dziennie, siódmego dnia staniecie w miejscu, kędy opodal wioski, na zakręcie drogi, wznosi się rozłożysta zielona palma. Księżyc będzie wtedy w pełni, a gdy staniecie pod palmą, modląc się, usłyszycie głos ducha, wołający: »Gunga! Gunga!« Idźcie za tym głosem, schwytajcie ducha, narzućcie mu pęta i przywiedźcie go tutaj. Oto sznury; idźcie i wracajcie pospiesznie!

Kapłani oddalili się, a Gunga we spół ze zgłodniałym ludem wyczekiwał niecierpliwie ich powrotu.

I stało się jak był powiedział. Siódmego dnia przybyli na wskazane miejsce, a gdy stali pod palmą, trwając w modlitwie i rozmyślaniu, wiatr nocny, przesiąkły leśnemi aromatami, przyniósł im zdaleka zrazu ciche, przeciągłe, potem coraz głośniejsze i smutniejsze wołanie: »Gunga! Gunga! Gunga!« Poszli za tym głosem: naraz u zakrętu ścieżki spotkali się oko w oko z tygrysem. »Oto duch!« wykrzyknęli jednocześnie i śpiewając pochwały Doorgi, szli nieustraszeni ku niemu. Ale tygrys jednym posuwistym skokiem rzucił się w głąb puszczy. »Duch uszedł nam!« wołali kapłani zawiedzeni, lecz w tejże chwili ponownie doleciało ich uszu żałosne wołanie: »Gunga! Gunga!« Szli więc dalej i wpoprzek ścieżki ujrzeli leżącego konającego starca. Związali go sznurami, ale zanim zdołali podnieść na swoje barki, starzec jęknął i oddał ducha. A głos nieznany, tęskny jak kwilenie dziecka, jęczał wciąż, zmięszany z szumem liści: »Gunga! Gunga! Gunga!« Rzekli więc: »Duch ponownie wymknął się nam« i szli dalej aż stanęli przy wyschłej studni u kamiennego podnóża której, otulona w łachmany, z rozwianym siwym włosem, siedziała Perła, wołając syna swego. Rzucili się więc na nią, skrępowali ją bez oporu i uwieźli powtarzającą bez ustanku »Gunga! Gunga!« A gdy wraz z ofiarą stawili się przed arcykapłanem, jedynym okrzykiem, który wydarł się z piersi skazanej, był wyraz »Gunga!«

Na to arcykapłan odezwał się surowo: »Milcz, niewiasto!«

Słysząc głos ten, kobieta drgnęła całem ciałem; a gdy oczy ich spotkały się z sobą, źrenice jej rozwarły się szeroko, bezmiernie, jakby skamieniałe przerażeniem czy szczęściem.

— Cud! cud! — wołali kapłani biegnąc do ludu by mu obwieścić wieść radosna. I okrzyk radości i zwycięztwa wyrwał się naraz z tysiąca piersi poruszonych nadzieją.

(Dokończenie nastąpi).

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Instynkt zwierząt
naturalny i przykładem pobudzony.

Jednych rzeczy uczy zwierzęta instynktem natura a drugich rzeczy uczy ich człowiek.

To, czego uczy natura, zwierzę przynosi ze sobą na świat, to należy do natury zwierzęcia, a zwierzę nie potrzebuje czasu, aby się w tem udoskonalić. Skoro się zdarzy sposobność, zwierzę idzie natychmiast za swojim instynktem; wie, że może wykonać to, o co chodzi.

Jeżeli się podłoży pod kurę kacze jaja i każe je wylęgnąć, to się widzi ze zdziwieniem, jak kaczęta idą za swoją macochą i jak jej są posłuszne, jak okazują jej dziecięce przywiązanie. Lecz kiedy kura je przywiedzie nad wodę, kaczęta bez obawy wchodzą na wodę, aby się wykąpać i popływać, nie zważają ani na głos kury ani na strach jaki ma o nie przyrodnia matka, która z obawą lata nad brzegiem i z lamentem woła, aby wyszły na brzeg. Widać, że kura wie jako woda byłaby dla niej niebezpieczną; kura nie umie pływać, i dla tego nie chce pływać. Kaczęta, które zresztą unikają wszelkiego niebezpieczeństwa, idą we wodę, bo natura nie dała im uczucia niebezpieczeństwa co do wody. U kury, która ze strachem wywołuje kaczęta z wody musi zachodzić coś więcej, aniżeli chęć do tego, aby jedno czynić, drugiego nie. Widać w niej jakoby działanie duchowe, strach, troskę z tego powodu, ponieważ mniema że jej młode są w niebezpieczeństwie. Widzimy tu rodzaj myślenia, wyobraźni.

Można z wypadku, który się zdarza na każdym podwórzu chłopskiem wiele się nauczyć, jeżeli się zastanawia nad tem, na co się patrzy, co do instynktu zwierząt, lecz tymczasem dajmy temu pokój, tylko sądzimy z tego, że kaczęta idą we wodę, chociaż się nigdy nie uczyły pływać, chociaż przedtem nigdy wody nie widziały, że instynkt uczy zwierzęta nie przykładem, lecz z natury uczy zwierzęta, które się rodzą z instynktem i ze zdolnościami swemi. Inaczej rzecz się ma kiedy człowiek uczy zwierzęta. Za pomocą przymusu, przykładu, za pomocą pewnego sposobu życia, może człowiek zmienić naturalny, wrodzony instynkt zwierząt, i wyuczyć je rzeczy, do których potrzeba we wielkim stopniu jakoby ducha i rozumu. Pies dobrze tresowany rozumie wiele z tego, co pan do niego mówi, rozróżnia przyjaciela od nieprzyjaciela, wie kiedy pan się na niego gniewa, umie mu się przychlebiać, stara go się rozweselić, kiedy jest smutny. Nie można jednak powiedzieć, że pies ma należyte pojęcie o tem co jest w sercu pana, że to wie lepiej aniżeli niejeden człowiek. Jeżeli się coś podobnego zdarza, to się dzieje skutkiem instynktu, skutkiem potrzeby wrodzonej psu, aby stał ze swym panem w pewnym stósunku. Czeka na to, bo do tego jest przyzwyczajony, aby pan go wołał, aby z nim rozmawiał, bawił się z nim; jeżeli to się nie dzieje, to pcha go coś do tego, aby zacząć rozmowę, i przez to rozwesela pana będącego w złym humorze, nie chce pana rozweselić, lecz z własnej potrzeby i przyzwyczajenia chce samego siebie rozweselić.

Człowiek może bardzo zmienić instynkt zwierzęcia, może zmienić potrzeby zwierzęcia i zastósować jego zwyczaje do potrzeb człowieka; zwierzę staje się niejako cywilizowane, nowe przymioty zwierzęcia stają się dziedziczne i powstaje ze zwierząt oswojonych jakoby nowa rasa, zupełnie inna aniżeli w stanie dzikim. Zwierzę oswojone traci swoje przyrodzone instynkta, zdaje się, że natura sama nie daje zwierzęciu tych instynktów, jakimi go obdarzyła przy urodzeniu.

Niejeden kot i potomstwo jego traci chęć i zgrabność łapania myszy, jeżeli go głód do tego nie zmusza, zamienia się w zwierzę domowe zupełnie, które trzeba żywić, które tylko chwilami zdradza dziką swoją naturę jakim skokiem.

Jeżeli zwierzę przez oswojenie tresurą ma się zmienić, to musi mieć z natury jeden przymiot, bez którego oswoić się nie da, t. j. musi pragnąć żyć w towarzystwie.

Wszystkie zwierzęta, które w stanie dzikim żyją społem, gromadnie, można oswoić, można z nich zrobić zwierzęta domowe, mogą się przyzwyczaić do stósunków ludzkich. Zwierzęta, które z natury i w stanie dzikim żyją samotnie, które nie żyją gromadnie, można do pewnego stopnia wytresować, jak to widzimy w menażeryach, można je nieco oswoić, mogą się przyzwyczaić do swego dozórcy, lecz domowemi zwierzętami, stać się nie mogą. Kot nawet, który w stanie dzikim nie żyje gromadnie, nigdy zupełnie oswoić się nie da, nawet w domu prowadzi życie na wpół dzikie, natomiast pies, żyjący w stanie dzikim gromadnie, jest wzorem zwierzęcia domowego i pożytecznego człowiekowi.

Pod ziemią.

Węgiel kamienny znano w starożytności, ale nie korzystano z niego, bo istniały wielkie obszary lasów, które zaspakajały wszelkie potrzeby. Z biegiem czasu stosunek się zmienia: lasy znikają a człowiek zmuszony jest szukać materyału opałowego. Pożądanie węgla stanęło na równi z pożądaniem złota; chciwość zrozumiała, że ktoby opanował rynek węgla, stałby się panem świata.

Spożytkowywanie węgla szybko postępuje; w r. 1835 wypalano go 40 milionów ton, obecnie spala się 3 miliardy kilogramów. Ażeby wydrzeć z głębin ziemi taką moc cieplika, potrzeba około miliona robotników; dzielny to legion, mężny do podziwienia, ale ciągle życia niepewny. Co rocznie z legionu górników, pracujących nad wydobywaniem węgla, ubywają 3—4 tysiące; pomiędzy nimi są ofiary wypadków: wybuchów, pożarów, powodzi lub zapadnięć galeryj. Wszystkie cztery żywioły sprzysięgły się na bezpieczeństwo górnika, zagrażają mu one na każdym kroku.

Życie wśród nieustannego niebezpieczeństwa tworzy bohaterów; giną na stanowiskach z odwagą, narażają życie dla ocalenia towarzyszy. Nigdzie może współczucie dla nieszczęścia nie jest tak rozwinięte jak pomiędzy górnikami, a jednak nazwiska tych bohaterów są dla świata nieznanemi; giną bez rozgłosu, bez wieńców, wielu spoczywa w mogile niepoświęconej modlitwą i błogosławieństwem kapłana. Wiedza pracuje nad zapewnieniem bezpieczeństwa dla górników. W pierwszych dziesiątkach naszego wieku, górnik schodził do kopalni po wątłych drabinach, podróż ta wyczerpywała go fizycznie. Potem drogę odbywał w beczkach, które służyły również do wydobywania węgla z galeryi, ale beczka często się przechylała i wyrzucając górnika, narażała go na kalectwo lub natychmiastową śmierć. Obecnie wymyślono rodzaj klatek; w nich górnicy szybko i względnie bezpiecznie, dostają się do galeryi; względnie — bo zdarza się, że łańcuch windy pęka.

Do pracy górniczej niezbędnem jest światło: otóż lampy powodowały najwięcej groźnych wypadków. Obecnie lampy Davy'ego zapewniają bezpieczeństwo, jeśli górnik zachowa należytą ostróżność. Elektryczność byłaby tu dobrodziejką.

Cechą znamienną górnika jest pobożność; uczucia chrześcijańskie wyrażają się nawet w przesądach i legendach.

Górnicy sandomirscy opowiadają o skarbniku, opiekunie wszystkich kruszców, znajdujących się w ziemi. Często w kurcie górniczej przychodzi on do szybu i wyręcza znużonych robotników; wtedy najbliżej stojący podaje mu, na kilofie, świecę zapaloną. Skarbnik, dobrze przyjęty, za dziesięciu pracuje, odkrywa najbogatsze żyły i najprostsze drogi z szybu do szybu wycina. Skarbnik zalał Olkusz za karę, że górnicy tamtejsi chcieli Częstochowę podkopać.

Często w szybach rozlegają się prośby: »Dajta chleba! światła dajta!« — a jednocześnie u stropu ukazują się ręce. Młody górnik chciał pewnego razu podać chleb duchowi, ale wstrzymał go stary:

— Innego mu chleba i światła potrzeba — rzekł, potem ukląkł, za nim poklękali wszyscy, spólnie zmówili »Anioł Pański« i »Wieczny odpoczynek«.

Ręce znikły, a głos miluchno i pobożnie dziękował za modlitwę.

Gołębie listonosze.

Budapeszteński klub »Columbia« wyznaczył listonoszom skrzydlatym tor od Przemyśla do Pesztu; wypuszczono 22 sztuki, każda z numerem; pierwszy przybył na miejsce nr. 9: przeleciał, w przeciągu 7 godzin, 560 kilometrów (1,200 metrów na minutę). Takie same rezultaty dał wyścig z Wiednia do Podgórza, urządzony przez komitet wojskowy; wypuszczono 62 gołębie rasy belgijskiej; zwycięzca przeleciał przestrzeń 513 kilm., w 6 godzin i 53 minuty (kilometr na minutę).

Podczas wojny francusko-pruskiej, z oblężonego Paryża wysłano przez gołębie 95,000 depesz, a przysłano ich 60,000. Poczta gołębia istniała w Egipcie, Rzymie i Grecyi; za czasów Dyoklecyana, usiłowano urządzić, przy jej pomocy, stałą wymianę listów.

Uczony francuski, Boudry, obliczył, że mucha, w przeciągu jednej sekundy, uderza skrzydłami 320 razy, trzmiel 240, pszczoła 190, osa 110, ważka 28, motyl kapustnik 9, wróbel 13, kaczka dzika 9, sowa 5, a gołąb 8 razy.

Przy doświadczeniach z owadami, Boudry trzymał je obciążkami za środek tułowia; jedno skrzydełko dotykało okopconej powierzchni obracającego się ciągle cylindra stalowego i na nim pozostawiało ślad każdego poruszenia. Ptak zaś każdy, użyty do doświadczeń, musiał przebiegać 16 metrów w linii prostej lub zataczać koło 6—7 metrach średnicy.

Do współzawodnictwa z gołębiami stanęły jaskółki; myśl zaciągnięcia tych ptaków do służby wojskowej podał Jan Desbouvrie, z Roubaix, który od 38 lat uczy je listonoszostwa. Jaskółka przestrzeń z Paryża do Roubaix, wynoszącą 250 kilometrów, może przelecieć w przeciągu 90 minut. Taki rezultat, a jeszcze okoliczność, że maleńkiej ptaszyny nie znajdzie kula karabinowa, przekonały, iż gołębie ustąpić muszą jaskółkom. Obecnie w Paryżu, na Mont-Valérien i Montmartre, wzniesiono jaskólniki.

O snach.

Sen stanowi niby drugie życie duchowe, zmięszane i urozmaicone, pełne wrażeń i niespodzianek. Przedstawiając mniej lub więcej ściśle wszystko na co patrzymy, sen jest mięszaniną idei, czynów i obrazów, które kiedykol-

wiek powstały w naszej głowie, przesunęły się nam przed oczyma i odbiły się w naszej pamięci. Podczas snu wola nasza jest zupełnie bezsilną, korzysta z tego wyobraźnia i wywołuje szereg wspomnień i wrażeń, wiążąc je z sobą najdziwaczniej.

Marzenia senne nie mają teraz szczególnego dla nas znaczenia, dawniej jednak uważano je za ostrzeżenia i przywiązywano do nich wielką wagę. U Assyryjczyków, Egipcyan, Chaldejczyków kapłani musieli sny tłumaczyć: chorzy udający się do nich po radę, spędzali noc w świątyni i stósownie do snów, wyprowadzano rodzaj choroby i przepisywano odpowiednie leki. Historya starożytnego Wschodu opowiada o różnych snach, które wywarły wpływ przeważny na losy państw i narodów. Astyages, wskutek snu, każe zgładzić swego wnuka Cyrusa, ale dziecię uchodzi morderczego noża, wkrada się później w łaski dziada i pozbawia go tronu. W biblii nader często spotykamy wzmianki o snach proroczych: sen Jakuba, o drabinie, sięgającej nieba; sny Faraona o siedmiu krowach tłustych i siedmiu chudych, którym Józef zawdzięczał swoje wyniesienie; sny Nabuchodonozora, tłumaczone przez Daniela; sen Mardocheusza, wuja Estery, i wiele innych. W historyi greckiej ważną rolę grały sny: dość przeczytać Heredota i Ksenofonta, żeby się o tem przekonać. Poeta Pindar mówi: »Za pomocą wyroczni bogowie, a za pomocą snów duchy nieśmiertelne oznajmiają ludziom przyszłość.« W dziejach Rzymu nieraz znajdujemy opowiadania o snach proroczych, dowodem sen Tarkwiniusza Pysznego, sen małżonki Cezara, Kalpurnii, i inne.

W czasach chrześciańskich także nie brak wzmianek o snach wielkiej wagi: sen Konstantyna Wielkiego, jego matki Heleny; sen papieża Inocentego III, dotyczący ustanowienia zakonów jałmużniczych, i inne. Historya bliższych czasów mówi o śnie proroczym wezyra tureckiego Kara-Mustafy. W nocy 15 Lipca 1683 r. śniło mu się, że dokoła jego ciała owinął się wielki, czerwony wąż, grożąc mu śmiercią. Kara-Mustafa wezwał wróżbitów i polecił im sen wytłumaczyć. Pierwszy z nich wyłożył go w sposób bardzo niepomyślny i został za to ukarany chłostą; inni wyjaśnili go nader pochlebnie i otrzymali sowitą nagrodę. Przyszłość jednak dowiodła, że pierwszy powiedział prawdę, gdyż Kara-Mustafa wkrótce potem, za klęskę pod Wiedniem, otrzymał od padyszacha czerwony sznur i musiał odebrać sobie życie.

Praktyczne rady.

— **Odświeżanie powietrza w pokojach.** Czyste i świeże powietrze jest koniecznym warunkiem zdrowia; wiadomo, jak prędko ono się psuje w miejscach zamkniętych, np. w salach szkólnych, warsztatach i t. p. Terpentyna francuska, z domieszką 1 na 100 oleju lawendowego, stanowi znakomity a bardzo łatwy i niekosztowny sposób odświeżenia powietrza; skrapia się nią ściany i podłogę, wskutek tego wytwarza się znaczna ilość ozonu. Sposób ten powinien być zastosowany także do pokojów sypialnych i dziecinnych.

— **Przyrządzanie krochmalu na sposób paryski.** Starannie rozrobiwszy krochmal wodą, dodaje się na funt krochmalu pół funta miałkiej soli i sproszkowanego boraksu, osobno rozpuszczonych w wodzie. Wszystko gotuje się razem, mieszając łyżką drewnianą; przy końcu gotowania wrzuca się kawałeczek białego wosku. Tym krochmalem naciera się gorsy, kołnierzyki i mankiety, a skoro wyschną, naciera się je przed prasowaniem surowym krochmalem.

— **Niema bólu zębów.** Ks Opalski, proboszcz parafii Kumowo w powiecie chełmskim pisze, że najlepszym lekarstwem na ból zębów jest płukanie i obmywanie dziąseł surową serwatką, wydzielającą się z kwaśnego mleka. Kapłan ten próbował tego środka na ubogich swej parafii z jak najlepszym skutkiem.

Rozmaitości.

* **Maj został** przez Kościół poświęcony dla czci Najświętszej Panny i zowie się miesiącem Maryi. Nabożeństwo Majowe jest dziełem świętobliwego zakonnika, O. Lalonia, który mieszkał w Rzymie na początku naszego stulecia. Zebrał on szczególnych czcicieli Matki Zbawiciela i wraz z nimi, zasyłał przez cały miesiąc maj modły do Niej, śpiewał hymny sławiące Niepokalaną Dziewicę. Papież Pius VII tak był zachwycony nabożeństwem, że osobnem pismem, wydanem 21 marca 1815 r., nie tylko je pochwalił i zalecił wiernym, ale zarazem nadał mu wiele odpustów. Odtąd nabożeństwo majowe szybko się rozpowszechniło po Europie i obecnie, we wszystkich krajach zamieszkanych przez katolików, rozbrzmiewają pienia na cześć Maryi.

* **W Irlandyi** znajduje się jezioro, którego wody są białe jak mleko. Odkrył je podróżnik Thoroddsen, u stóp potężnego lodnika, na zachodniej stronie góry Jatria-Jokull. Krajowcy zowią je Langisjor. W Patagonii, znajdują się białe jeziora znacznych rozmiarów, zajmujące powierzchnię kilku mil kwadratowych. Woda w nich nadzwyczaj płytka, na wierzchu zaś znajduje się skorupa skrystalizowanej soli. W pobliżu Tauranga, w Nowej Zelandyi, odkryto również jezioro z białą wodą.

* **Istnieje** tylko jeden gatunek ptaka bez skrzydeł: A p t e r y x, w Nowej Zelandyi. Krajowcy nazywają go K i w i - K i w i, z powodu szczególnego krzyku, jaki wydaje. W dzień ukrywa się w zaroślach, w nocy wycho-

dzi na żer; żywi się wężami i owadami. Jest wysoko ceniony dla piękności swoich piór.

* **W Paryżu** istnieje klub głuchoniemych, w których nawet służba musi być dotknięta tem kalectwem. Panuje tam wciąż grobowe milczenie, wszyscy porozumiewają się na migi, do wzywania zaś służby urządzone są elektryczne przyrządy, które zamiast dzwonić, lekkiem wstrząśnieniem dają znać służącemu, że jest potrzebny.

* **W Chinach** każdy musi nosić żałobę po zmarłych członkach rodziny, ktoby zaś nie dopełnił tego obowiązku, skazany jest na rok wygnania, albo sześćdziesiąt kijów. Czas trwania żałoby, oznaczony prawem, zależy od bliższego lub dalszego stopnia pokrewieństwa. Po rodzicach nosi się żałobę przez trzy lata, ale urzędnicy państwa mogą ją zdjąć po dwudziestu siedmiu miesiącach. W ciągu pierwszego miesiąca po śmierci, najbliższym krewnym nieboszczyka nie wolno się golić ani zmieniać odzieży. Podczas pogrzebu, rodzina obdarza obecnych żałobnemi krawatami i rękawiczkami. Do płakania nad trumną najmowane są kobiety.

* **Od czasów** Wilhelma Zdobywcy, było wojen dwadzieścia cztery między Anglią i Francyą. Ostatnia trwała lat dwanaście, od 1803 do 1815 r., kosztowała życie 1,200,000 ludzi i niemożliwe do obliczenia sumy.

* **Miliard w srebrze** waży 5,000,000 kilogr., w złocie 322,580 kilogr., w biletach bankowych, 1,000-frankowych 1,780 kilogr., w biletach 100-frankowych 11,500 kilogr. Ażeby przenieść miliard w papierach tysiąc frankowych, potrzeba 18 ludzi; do przeniesienia takiej sumy w biletach stu frankowych wystarczy 115 ludzi; do miliarda w złocie 3,225, w srebrze zaś — 50,000 ludzi. Miliard w biletach tysiąc-frankowych utworzyłby 2,000 tomów, z których każdy miałby 5,000 kart.

* **W Węgrzech** prawny wiek człowieka liczył się dopiero od daty chrztu, bez względu na to, kiedy on się odbył. Kobieta uwięziona w Presburgu, za przechowywanie skradzionych przedmiotów, przytoczyła na swoje usprawiedliwienie, że jest jeszcze dzieckiem, nie może więc być karaną. Sąd po długiej naradzie uniewinnił ją na zasadzie, że była ochrzcona pół roku przedtem, prawnie więc, pomimo czterdziestu lat skończonych, liczyła się jeszcze do niemowląt.

* **W Egipcie**, jak w ogóle na Wschodzie, kobiety utrzymują się z płaczu. Panuje tam zwyczaj, który zachował się jeszcze z czasów starożytnych, że ciału nieboszczyka towarzyszą płaczki. Kobiety te płakać potrafią na zawołanie, potrafią nawet więcej. Otaczają ciało niebożczyka zaraz od chwili śmierci i z nieporównanym artyzmem odgrywają sceny żalu i rozpaczy: łamią ręce, wydzierają sobie włosy, łkają przeraźliwie, zawodzą pieśni żałobne, łzy strumieniem spływają po ich śniadych policzkach. Podczas pogrzebu powtarza się to samo: płaczki białemi chustkami zakrywają sobie twarze i krzykliwie wyśpiewują pochwały zmarłego. Po skończonej ceremonii oblicza ich naraz się wypogadzają, włosy się przyczesują i niema u nich ani śladu z przebytych wzruszeń. Za płacz i wyrzekania płacą im krewni zmarłych od godziny stósownie do stanu.

* **Jest** rzeczą udowodnioną, że kobiety żyją w przecięciu dłużej od mężczyzn. Czemu to przypisać? Organizm kobiet jest słabszy, budowa wątlejsza, skłonność do chorób większa, także uczuciowość i nerwowość. Życie dłuższe zapewniają kobietom przymioty moralne: cierpliwość, rezygnacya, wesołość i siła woli, które im pozwalają skuteczniej opierać się burzom życiowym.

ŻARTY.

Rzecz na wsi.

— Ja wielmożnego pana co powiem: pszenica to dziś jest żaden interes, żyto tak jakby nie interes, a jęczmień bardzo mały interes, ale ja mogę być kupiec na siano?

— Na cóż ci siano?

— Potrzebne; ja miszlę niedługo założyć wielki skład herbate...

U zegarmistrza.

— A czy też ten zegar będzie chodził?

— Nie, trzeba go nosić.

Mularz I: Gdy fundamenty domu już skończone co za tem idzie?

Mularz II: Parter.

Mularz I: Głupiś! pierwszy dług hipoteczny.

— Powiedz mi, Maryniu dla czego nie wychodzisz za mąż?

— Papa twierdzi, żem na to jeszcze za głupia.

— Jeszcze czego! Głupota nie stanowi przeszkody do małżeństwa.

Żona: Kiedy wrócisz z polowania (gonu) mój drogi?

Mąż: Nie prędzej, dopóki nie ubiję zająca.

Żona: Jakto! czy się chcesz na zawsze zemną pożegnać?

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.